

Na żywo

Marcin Wolski



calibre 0.9.27

Marcin Wolski

Na żywo

Z "NF" 12/94

Nogi Belli charakteryzuje przedziwna gładkość, która w naturze występuje zazwyczaj jedynie na pupie dziecka. I to nie każdego. Czasami, gdy całuję jej łydki, kiedy sunę ustami po ich doskonalej powierzchni, mijam zgięcia przy kolanie, po czym na udach zwalnim niczym wytrawny alpinista przed ostatnim szturmem na szczyt, to zastanawiam się, czy panna Ybaldia przypadkiem nie poleruje swoich kończyn? Będąc zawodowo zainteresowany twarzami, w wypadku Belli znajduję się w niezwykle estetycznym rozdarciu - nie wiem, co ma piękniejsze? Jest spełnionym snem czterdziestoletniego mężczyzny, któremu jeszcze niedawno wydawało się, że ma wszystko za sobą.

Mamy ciepły sierpniowy wieczór, od kwadransa jesteśmy razem. Bella, zapakowana w puszysty szlafrok, już mi podsunęła swoją czarującą stópkę. Tak to się zawsze musi zaczynać - pieszczotą palców, penetracją językiem różowych cieśninek między nimi, leciutkim ugryzieniem tego najukochańszego, najmniejszego.

Nie musimy się śpieszyć. Nareszcie nie musimy się śpieszyć. Mamy przed sobą cały długi weekend.

- Nie będę cię potrzebował do poniedziałku - powiedział szef wyruszając do swego starego domu w górach. - Jestem zmęczony.

Rzeczywiście, ostatnio nie wygląda za dobrze. Worki pod oczami upodabniają go do starego, chorego lemura. Coraz częściej zdarza mu się wybuchać gniewem, a raz, kiedy myślał, że go nie widzę, płakał. Czasami zastanawiam się, czy brzemie, które wziął na swoje barki, nie jest przypadkiem zbyt ciężkie?

Prawie pół roku czekałem na okazję zabrania Belli na moje ranczo. Nasz romans, od pierwszego spotkania na koktajlu w ambasadzie francuskiej, składał się z setki bardzo krótkich, choć fascynujących odcinków.

Konieczność dyspozycyjności wobec szefa powoduje, że łańcuch, po którym poruszam się wokół niego, jest bardzo krótki. W każdej chwili mogę spodziewać się szarpnięcia i wezwania do gabinetu, kaplicy czy sali bilardowej. Na dodatek jako osoba publiczna muszę strzec się wścibskich dziennikarzy, fotoamatorów i opozycyjnych polityków. Ba, mój związek z młodą tłumaczką muszę ukrywać przed szefem, który jest purytaninem i nie przyjmuje do wiadomości mej separacji z Barbarą.

- Przyzwoici ludzie muszą być stanu żonatego lub duchowego - twierdzi. - Jak możesz pozwalać, Juan, żeby matka twych dzieci przebywała na stałe za granicą.

Szef nie przyjmuje do wiadomości, że to Barbara mnie rzuciła (co prawda, sam nie byłem w tej sprawie bez grzechu) i obecnie odpowiada jej status konkubiny króla sardynek ("Jeśli nie masz łusek na oczach, jedz wyłącznie sardyńki firmy Mediterane") czy innych żyletek ("najlepszych dla mężczyzny"). Jeśli idzie o Caroline i Mercedes, dziewczynki przebywają w ekskluzywnej szkole w Gstad i sądząc po ich rzadkich telefonach, zupełnie nie doskwiera im brak ojca.

Inna sprawa, że nasza konspiracja z Bellą ma swoją podniecającą stronę. Nigdy przedtem nie przypuszczałem, że miłość potajemna może dostarczać takich przyjemności. "Kto nigdy nie ślizgał się na brzytwie, ten nie może powiedzieć, 1

że jest prawdziwym mężczyzną" - powiadają Chińczycy-masochiści.

I tak to mniej więcej wygląda.

Kiedy owej pierwszej nocy kochałem się z Bellą na schodach przeciwpożarowych rezydencji ambasadora Francji, a tuż za ścianą mój szef wygłaszał przemówienie o naszych wielowiekowych związkach z ojczyzną Catherine Deneuve (też była zaproszona), nie przypuszczałem, że są to jeszcze całkiem komfortowe warunki. Od tego czasu bowiem zdarzyło mi się pieścić piękną tłumaczkę w windzie, na stole bilardowym, obok siłowni szefa, na dachu rezydencji tuż poniżej flagi (modląc się, żeby nie wyszedł księżyc), w bagażniku pancernego rolls-royce'a, na dnie suchego basenu, w schowku na szczotki, w mikroskopijnej łazieneczce przy sali konferencyjnej (stłukłem wtedy czołem kryształowe lustro). Tylko w wyjątkowych wypadkach umawialiśmy się w hotelu lub u mnie w domu. Do siebie mnie nie zapraszała ze względu na półsparaliżowaną matkę staruszkę, która w dodatku cierpiała na bezsenność.

Dotarłem do sedna, odurzony szaleństwem zapachów i wilgocią, przesunąłem się ku górze, przez cudowny taras brzucha, łagodnie doliną między piersiami stromymi jak Sopki Mandżurii, ku szyi. Bella otworzyła się cała. Teraz już pragnęła mnie szybko. Podążyliśmy więc we dwoje ku spełnieniu. Przekoziółkowaliśmy po dywanie, aż runęła stojąca lampa o kształcie kariatydy i zgasł telewizor, którego kabel utracił łączność z kontaktem.

- Tak, tak, Juan, teraz, ty wariacie, ty sukinsynu...

Biorąc pod uwagę moje stanowisko, nie były to komplementy wyszukane, ale w Belli jednak kochałem jej zewnętrzną subtelność i wewnętrzną wulgarność. Teraz zresztą przebiłem się przez obie warstwy docierając do banalnego, ale fascynującego ośrodka.

Środek był gorący, żywy, żarłoczny, gotowy wyciągnąć ze mnie duszę. Zawylem:

- Och, suko, suczusu, zwierzaczu!

I było po wszystkim. Pocałowałem Bellę w kark i poszedłem do łazienki, zostawiając ją rozmarzoną, rozszerzoną, przegiętą przez walek, który spadł z otomany pragnąc aktywnie uczestniczyć w naszych zapasach.

Mam fart - pomyślałem przypatrując się mej twarzy, szczuplej, bladej, na mój gust o zbyt wydatnym nosie i głębokich bruzdach wokół ust, by uchodzić za przystojną. -

Lepiej późno niż wcale.

W wąsach zaczęły już srebrzyć mi się pierwsze siwe włosy, podobnie było na skroniach, a przedziałek coraz niebezpieczniej upodabniał się do tonsury.

- Jest Bóg na ziemi! Jest, jeśli stworzył dla mnie Bellę.

Po tylu zmarnowanych latach z Barbarą, po nieudanym głupim romansie z tą wariatką Christą. Do tej pory nie mam pojęcia, czy samobójczy strzał w "Hotelu Excelsior" padł z mego powodu... Bella była rekompensatą, zadośćuczynieniem. Była wszystkim.

Że coś nie jest zupełnie w porządku, zorientowałem się wracając do pokoju. Lampa znów stała w pozycji pionowej, a moje ubranie złożone w kostkę leżało na krześle.

- Dobry wieczór, senior Castillo, proszę wybaczyć mi najście, ale niestety, służba nie drużba. - Mówiącym był

niski, łysy jak cebula facet o świdrujących oczkach i brodawce, która upodobała sobie zagłębienie obok jego krzywego nosa. Rzuciłem okiem na Bellę; przykryta prześcieradłem siedziała na kanapie, ale nie wydawała się ani przerażona, ani zakłopotana.

- Porucznik Ybaldia prosiła, abym nie ujawniał się od razu - ciągnął intruz - toteż pozwoliłem

sobie poczekać w 2

bibliotece, zanim... hm... w końcu też niekiedy bywam mężczyzną.

- Porucznik Ybaldia?

Uśmiechnęła się niewinnie.

- Co tak się głupio patrzysz? Każdy gdzieś pracuje. I cudownie, kiedy można łączyć przyjemne z pożytecznym.

- Porucznik Ybaldia - powtórzyłem i usiadłem rozglądając się za papierosem. Człowiek-cebula poczęstował mnie cygarem.

- Mogłaś mnie przynajmniej uprzedzić...

- Nie chciałam ci robić przykrości. Zaraz byś pomyślał, że współzjemy służbowo - powiedziała.

- A nie?

- Kocham cię, Juan.

Musiałem mieć niedowierzający wyraz twarzy, bo przybysz wyszczerzył się do mnie w sposób, który niektórzy dentyści mogliby uznać za uśmiech.

- Radziłbym wierzyć Belli, senior Castillo - rzekł. - To bardzo porządna dziewczynka, zwłaszcza od czasu, kiedy nie pracuje w obyczajówce.

Powoli odzyskiwałem pewność siebie.

- Co to znaczy? - podniosłem głos. - To jakaś prowokacja!

Jakim prawem wtargnął pan do mej posiadłości?

- Ależ drogi senior Castillo, jako historyk prawa wie pan, że na pewnym szczeblu władzy prawo nabiera przedziwnej rozciągłości. Inaczej potraktuje biednego komiwojażera, inaczej sekretarza głowy państwa. Ale do rzeczy. Pozwoliłem sobie zakłócić pański romantyczny wypoczynek...

- Jeszcze się nie przedstawiłeś, Manuelu - przerwała mu Bella.

- Rzeczywiście. A zatem pułkownik Manuel Lopez z Wydziału Specjalnego...

- Nie musi podawać mi pan swojego życiorysu - warknąłem.

- W końcu sam wysyłałem decyzje w sprawie pańskiego awansu z podpułkownika na pułkownika.

- Jestem niezmiernie wdzięczny. A skoro tak dobrze nam się rozmawia, czy mógłbym sobie nalać wina?

Nie protestowałem, czułem się podle. Świadomość, że nie byłem miłością panny Ybaldia, ale jedynie zadaniem, upokorzyła mnie. Nalałem również sobie, wino miało nieprzyjemny, cierpki smak. Ponieważ stałem jedynie w ręczniku na biodrach, Lopez podał mi szlafrok. Okryłem się nim, zapaliłem cygaro. Jeśli zdecydowali się zdekspirować Bellę, sprawa naprawdę musi być ważna.

I rzeczywiście była.

Prawdopodobnie gdyby akta Cristobala Sabroniego przeglądał inny pracownik Wydziału Studiów i Analiz, a nie Diego Merito przezywany przez kolegów menda, moje seksualne kontakty z panną Ybaldia mogłyby się rozwijać bez przeszkód.

Niestety, Merito nie zwykł odwalać roboty po lebkach i już po krótkiej lekturze życiorysu Sabroniego zaczął

zastanawiać się nad zaskakującą wymową dat. Cristobal Sabroni, zamożny przedsiębiorca z Santa Cruz, urodził się 10

stycznia 1927 roku. 25 grudnia roku 1952 wstąpił w związki małżeńskie z Marią Espinosa, 3 marca 1954 urodził się jego jedyny syn, Carlos, 7 września 1961 roku uczestniczył w katastrofie lotniczej w Andach i należał do siódemki tych szczęśliwców, którzy ją przeżyli. Żadnych obrażeń nie odnieśli tylko on i jeszcze jeden pasażer. Jeszcze jeden!!!

Wreszcie 2 października roku ubiegłego Sabroni został obrany prezesem Południowego Konsorcjum... Cholera.

W przeblysku genialności Merito pochwycił za "Who is who". Niesamowite! Dane drugiego pasażera, który bez szwanku opuścił płonącego boeinga, pokrywały się z życiorysem Sabroniego.

3

Też urodził się 10 stycznia tegoż samego roku. Tego samego dnia ożenił się, jego syn jednak również pojawił się w identycznym terminie, tyle że nie w Santa Cruz, a w stolicy. Rosnące podniecenie Merito było o tyle uzasadnione, że astrologicznym bliźniakiem przedsiębiorcy był nie byle kto. 2 października, kiedy Cristobal został zatwierdzony przez Radę Konsorcjum na stanowisko szefa, tłumy wiwatowały na cześć tego drugiego, tego właśnie dnia obranego Prezydentem Republiki. Moim szefem.

Nie powiem, że bym słuchał rewelacji pułkownika Lopeza z obojętnością. Daleko jednak było mi do fascynacji. Nie pojmowałem, czemu zdumiewająca, ale jednak przypadkowa zbieżność faktów zakłóciła "weekend mego życia".

- Merito był uparty - opowiadał Lopez. - Zaczął poszukiwać dalszych zbieżności...

- I znalazł je?

- Mnóstwo. Kiedy mały Cristobal przechodził świnkę, chorował na nią nasz późniejszy "ojciec ojczyzny", kiedy koleżanka w VI b ukruszyła mu ząb, pański pryncypał stracił pół jedyńki podczas meczu w rugby. Jednego dnia stracili cnotę. Prezydent ze swoją nauczycielką angielskiego, a Sabroni w małym burdeliku, na który zrzucili się we trójkę z kolegami...

- Czyli pewne różnice istnieją - zauważyłem.

- Jedynie pod względem dekoracji. Merito zestawiał 279

analogii w życiorysach naszych bohaterów. Oczywiście, nie miał wszystkich danych. Od kiedy aktualny prezydent został

senatorem, dla szczebla reprezentowanego przez Merito stały się one niedostępne. Mógł korzystać jedynie z informacji nagłośnionych przez media. Ale wystarczyło! Pamięta pan, co stało się 5 marca...?

- Nie mam pojęcia.

- Jesteś paskudny, tego wieczora poznaliśmy się na koktajlu w ambasadzie francuskiej - zaszczębiotała Bella.

- Rzeczywiście, ale chyba nie o nas pułkownikowi chodzi.

Już wiem! Podczas dyskusji na schodach z ambasadorem Rosji pan prezydent potknął się i wywichnął kostkę. Niegroźnie zresztą.

- I proszę sobie wyobrazić, że o tej samej godzinie na Avenida del Sol w Santa Cruz

samochód potrafił wychodzącego z lokalu Sabroniego. Też lekko wstawionego. Efekt...

- Zwichnięcie kostki?

- Naturalnie.

Wszystko to wyglądało zbyt groteskowo, żeby było realne.

A jednak było, ja w szlafroku, pułkownik, Bella, czerwień zachodzącego słońca...

- Oczywiście, gdyby chodziło tu jedynie o psychotroniczną ciekawostkę, nie ośmielibym się odrywać pana od zajęć -

Lopez dramatycznym gestem wychylił kolejny kieliszek. - Sam zaniepokoiłem się, kiedy dotarłem do operacji "Storczyk".

Zmarszczyłem brwi.

- Wiem, wiem - uśmiechnął się Lopez. - Top secret. Tajne, łamane przez poufne. Pełna informacja znana jest tylko pięciu ludziom. No i Belli... A zatem możemy rozmawiać spokojnie.

Wiem, ile rozterek i wahań poprzedziło decyzję mego szefa w sprawie "Storczyka". Naturalnie, decyzję ustną. Pamiętam, byliśmy wtedy w czwórkę. Szef, minister bezpieczeństwa, Kreol o szarej twarzy bezsennego ogara i czarnowłosa, zda się z samych żył i mięśni utkany, szef jednostki specjalnej

"Sigma".

- Uważacie, że wymaga tego dobro państwa. Prawdopodobnie macie rację - powiedział prezydent.

- Blasco Herrera jest wrogiem republiki, mordercą, terrorystą, a przy okazji legendą i ojcem duchowym miejskiej 4

partyzantki, podobno ma popleczników na najwyższych szczeblach - mówił minister. - Jego likwidacja będzie operacją szybką, tanią, a dzięki planowi "Storczyk"

stuprocentowo bezpieczną.

- Ale Herrera przebywa w Hawanie!

- Wiem, że z fałszywym paszportem wkrótce wybiera się do Nowego Orleanu. Pewnych rozrywek komunistyczna Kuba nie jest w stanie dostarczyć mu w dostatecznym wyborze.

- Chcecie zabić go na terenie Stanów Zjednoczonych?

- On już nie żyje, panie prezydencie - zauważył z uśmiechem szef jednostki "Sigma".

Blasco Herrera poglądził się po doklejonych bokobrodach i przez opalizujące okulary rzucił okiem dookoła. Faceci z ochrony skinęli głowami.

- Wszystko w porządku.

Przeszedł dwa metry po trotuarze i znikł w środku jednopiętrowego baraczku. Olbrzymi Murzyn, który otworzył mu drzwi, poprowadził go do pozbawionego okien gabinetu. Oczy Herrery rozbłysły. Na fotelu siedziało "Zjawisko". Bujne włosy w puklach spadały na ramiona. Nic nie osłaniało monumentalnych piersi. "Zjawisko" uśmiechnęło się odsłaniając zęby równe i białe jak Antarktyda na Boże Narodzenie. Reszta ciała tonęła w mroku. Czy była równie zachwycająca?

Goryle wsunęli się do wnętrza i zbliżyli z zamiarem obmacania "Zjawiska".

- Za drzwi! - warknął Blasco. Wdusił cygaro w kaszmirowy dywan i rozpinając marynarkę ruszył do przodu.

- Wstań, skarbeńko.

Luksus za tysiąc dolarów wstał. Dreszcz emocji zelektryzował terrorystę. To nie było

przereklamowane. To było niewiarygodne. Poniżej pasa arcykobieta zmieniła się w supermężczyznę. Carramba! Wash and go!

- Na łóżko - warknął rozkazująco.

Hermafrodyta ulegle skinął głową. Ale cofnął się tylko nieznacznie i zaczął masować swój obfity biust. Herrera oblizal mięsiste usta.

- Na łóżko! - powtórzył.

Zjawisko nie zareagowało. Blasca owładniętego podnieceniem dodatkowo pobudziła furia.

- Nauczę cię posłuszeństwa, malutki!

Wzrok hermafrodyty uciekł gdzieś w bok. Herrera podążył

za nim i dostrzegł leżący koło łóżka pejcz. Właściwy przedmiot na właściwym miejscu!

Pochylił się, aby go podnieść i wtedy to się stało.

Niedoszły partner zarzucił mu błyskawicznym ruchem na krtań stalowy drut, dotąd ukryty w dłoni i szarpnął.

- Pułapka! - przemknęło przez głowę Herrerze, a potem ostry drut przeciął mu krtań.

Murzyn uniósł słuchawkę w automacie telefonicznym wiszącym na korytarzu hoteliku.

- "Storczyk" ścięty - zameldował.

W tym samym czasie Ignacio Ruiz, wiceprezes Konsorcjum Południowego, siedł po świeżo wylanym betonowym fundamencie Nowego Super-Mercado w Santa Cruz. Mimo ciężkiego dnia i przebytej drogi odczuwał zadowolenie. Duże zadowolenie.

Usunięcie Sabroniego i przejęcie po nim szefostwa Konsorcjum było kwestią godzin. Jeszcze tylko ten księgowy dostarczy kopie umów z "Brazilian Fruits" i po Sabronim.

- Był gówniarzem i zdechnie jak gówniarz - mruknął do siebie Ruiz.

Zapadł zmierzch, a wraz z nim nadciągnął przyjazny chłód.

- Jutro obudzę się innym człowiekiem, tylko gdzie ten 5

cholerny księgowy? Miał tu być od kwadransa.

Na temat przyszłego snu don Ignacja zdecydowanie odmienne zdanie miał mężczyzna siedzący obok filaru budującego się magazynu. Nie zamierzał jednak wyrażać go w słowach.

Nieśpiesznie uniósł broń z celownikiem optycznym. Dobrą broń kupioną w Port of Spain. Snajper przez krótką chwilę rozkoszował się obserwowaniem bezbronnej ofiary.

- Dorodny tapir, samiec - mruknął bezdźwięcznie. - Adios!

- i pociągnął za spust.

Fontanna krwi na kamizelce i wyraz zdumienia na twarzy Ruiza wykwitły równocześnie. Nie było potrzeby drugiego strzału. Snajper doskoczył do ofiary. Ignacio nie żył, a beton był jeszcze świeży. Wystarczyło wcisnąć ciało do wykopu, uruchomić betoniarkę, potem sięgnąć po szlauch, aby splukać ślady krwi...

- Co pan tu robi, senior? - usłyszał naraz gderliwy głos.

Strażnik! Carramba! Przecież miało go nie być. Snajper odwrócił się gwałtownie i pośliznął na mokrym betonie.

Poleciał w tył puszczając broń. Straszliwe ukłucie bólu.

- Stalowa kotwa - pomyślał - przebiła mi prawe płuco...

- Co pan tu robi, senior? - powtórzył strażnik, który wprawdzie wziął pieniądze za nieobecność i miał iść się napić, ale zasnął i teraz gorliwością chciał nadrobić swoją nieudolność.

- Stało się coś panu? Zaraz zadzwonię po pomoc. Już lecę...

Akcja "Storczyk" powiodła się. Nie odnaleziono nigdy ciała Herrery. Jego goryle zginęli tego samego dnia w wypadku samochodowym. W Hawanie nikt nawet nie pisał, że terrorysta opuścił Rajską Wyspę.

Gorzej poszło Sabroniemu. Ranny snajper bez wahania ujawnił, kto zlecił mu mokrą robotę.

Cristobal miał dodatkowego pecha. Po zamieszkach w indiańskich pueblach na zachodzie gubernator Santa Cruz ogłosił stan wyjątkowy. Obowiązywały prawa wyjątkowe i sądy doraźne.

W sprawie zabójstwa wiceprezesa Konsorcjum nie było wątpliwości ani okoliczności łagodzących - zbrodnia z premedytacją, popełniona z niskich pobudek, przy złamaniu zawodowej lojalności. Kara śmierci została orzeczona jednogłośnie i miała zostać wykonana przed upływem miesiąca.

Lopez skończył swoją opowieść i znów nalął sobie wina.

Wyraźnie uwziął się, by zniszczyć moje zapasy, tak jak przekuł tęczową bańkę mojego romansu.

- I cóż pan na to?

Wzruszyłem ramionami:

- Nie powie pan chyba, że egzekucja na Sabronim może mieć wpływ na życie pana prezydenta?

Nerwowy tik przebiegł przez brunatną twarz pułkownika.

- Gdybym nie był tego pewien, nie znalazłbym się tutaj.

Podobnie jak pan bliski byłem zlekceważenia raportu Merito.

Kiedy go otrzymałem, do egzekucji pozostał niecały tydzień, ale gdy przypomniałem sobie o "Storczyku" i porównałem daty... Zgodziłem się na eksperyment.

- Do licha, jaki eksperyment?

- Przedwczoraj nakarmiliśmy Sabroniego silnym środkiem przeczyszczającym. Wiedzieliśmy, że pan prezydent po południu ma wystąpienie w senacie.

- Niesamowite!

Przed oczami stanął mi natychmiast obraz szefa przerywającego w pół zdania wystąpienie dotyczące reformy administracyjnej i zbiegającego z trybuny.

- Zarządz przerwę! - rzucił mi zbolalym tonem, znikając w 6 drzwiach.

Po kwadransie, kiedy wrócił z toalety, czuł się świetnie i mógł palnąć nawet trzy przemówienia. Nasz lekarz nie miał

pojęcia, co mogło spowodować nagłą niedyspozycję.

- Czy to cię wreszcie przekonało? - włączyła się Bella. -

Pułkownik jest pewien, że prezydent zginie. A właśnie wróciło pismo z odmową ulaskawienia Sabroniego...

- Cristobal Sabroni! - nareszcie mi się przypomniało. -

Oczywiście, był ktoś taki na liście trzy dni temu, ale prezydent miał akurat zły humor i nie ulaskawił nikogo...

Przekleństwo! Wystarczyło odezwać się do mnie wcześniej.

- Wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia, że obaj są, jak mówią eksperci - "incydentalnym przykładem wzmocnionego bliźniactwa astrologicznego"... Niemniej nie można dopuścić do

egzekucji.

Zamyśliłem się. Znałem szefa nie od dziś i nie mieściła mi się w głowie możliwość powiedzenia mu prawdy. A jakie miałem inne wyjście? Dla mnie, protegowanego prezydenta, oba możliwe warianty oznaczały klęskę - zbyt szybko wyrosłem, otaczała mnie za duża nienawiść, abym mógł wrócić tam, skąd wyszedłem. W moim interesie było, żeby Sabroni żył...

- Wiemy - odezwał się znów Lopez - że posiada pan wielki dar.

- Jaki?

- Umiejętność fałszowania podpisów... Jeszcze kiedy był

pan studentem, prowadzono śledztwo, ale... - dorzucił szybko widząc, że marszczę brwi - nie kontynuujemy tego tematu.

Wiemy, że potrafi podrobić pan podpis szefa. Posiadam już właściwy formularz.

Błysnęło mi znajome złoście godło Kancelarii.

- Potem trzeba będzie dokonać jeszcze paru drobnych szachrajstw w archiwach i odpowiednich biurach, ale biorę to na siebie. Najważniejsze, aby jutro nad ranem kat nie spełnił swojej powinności.

- Pójdiesz na to? - agatowe oczy Isabelli nieomal poparzyły moje źrenice.

- Dajcie mi jeszcze kwadrans.

Zgodzili się bez słowa.

Od pewnego czasu na ranczo miałem zainstalowaną końcówkę komputera. Bez większego trudu posprawdzałem potrzebne informacje. Najpierw przywołałem akta Lopeza (Manuel Lopez -

52 lata, pułkownik służb specjalnych - fotografia en face, plus dwa półprofile - życiorys, zakres obowiązków, stopnie utajnienia). Tak samo postąpiłem z Isabellą Ybaldia (lat 25, panna, porucznik wydziału III...). Wszystko w porządku.

Później przejrzałem jeszcze dossier Sabroniego. I połączyłem się z archiwum referatu do spraw ulaskawień. Tak. Nie miałem najmniejszych podstaw do obaw. Przez moment odczuwałem nawet pokusę zadzwonienia do szefa, ale odrzuciłem ją.

- W porządku - powiedziałem wracając do livingu - gdzie mam podpisać?

Lopez wyciągnął odpowiedni formularz.

- Proszę jeszcze zwrócić uwagę na aneks - powiedział z naciskiem.

"Zamieniając karę śmierci na dożywotnie, bezwarunkowe uwięzienie, zaleca się Wydziałowi do Spraw Więziennictwa umieszczenie skazanego w osobnej celi pod specjalnym nadzorem, ze stawką żywieniową "Q" i klauzulą zgodną z zarządzeniem 354 łamane przez 122 (*93)".

- Co to za zarządzenie?

- Więzień objęty tą klauzulą - Lopez podrapał się w swą brodawę - nie podlega amnestiom i ustawowemu zmniejszeniu kary po odbyciu 10 lat odsiadki. Chodzi o to, senior Castillo, żebyśmy go mieli na oku. Na zawsze.

- A jeśli prezydent skończy swą kadencję albo umrze?

7

- Jeśli skończy, zastanowimy się, co dalej z Sabronim. A jeśli umrze...? Cóż, Sabroni automatycznie umrze razem z nim.

Nagle Lopez zaczął się śpieszyć. Nic dziwnego, od Santa Cruz dzieliło go ponad 250 mil i jeśli chciał zdążyć przed egzekucją, powinien nie zwlekać.

- Zrobił pan wielką rzecz, don Juanie. Szkoda, że nie będzie tego na kartach historii naszego kraju - powiedział

schodząc do samochodu.

Na końcu języka miałem już prośbę, żeby zabrał ze sobą pannę Ybaldia, ale Isabella od dobrej pół godziny gdzieś się zaszyla.

Gdy wróciłem do livingu, siedziała po turecku na kanapie i sączyła drinka.

- I co teraz?

Zapadło między nami milczenie długie i ciężkie.

Podejrzewam, że było cięższe niż kamień grobowy Łazarza.

Wszelako Łazarz zmartwychwstał, a my chyba nie mieliśmy podobnej szansy.

Było smutno, pusto, głupio. Miałem ochotę zawołać do Belli "Wynoś się!" Nie zrobiłem tego. Przeciwnie, włączyłem muzykę. Może chciałem zagłuszyć beznadzieję.

Naląła mi drinka.

Przelknąłem go jednym haustem.

Po winie wypitym z Lopezem lekko tylko rozcieńczona whisky miło zapiekła w gardle.

- Chcesz, żebym sobie poszła? - zapytała nieoczekiwanie, patrząc mi w oczy.

- A ty chcesz? - odparłem.

Naraz rozwiązał się jej język.

- Wiem, Juan, nie powinnam, nie powinnam tego robić, ale kiedy w Departamencie Ochrony zlecono mi opiekę nad Kancelarią, nie znałam cię, nie wiedziałam, że się w tobie zakocham. Nie wierzysz mi? I absolutnie masz prawo nie wierzyć. Kocham cię właśnie za twoją uczciwość, Juan. I chyba rzeczywiście powinnam odejść pierwsza. A wiesz dlaczego? Dopiero przy tobie zrozumiałam, że mogę być inna.

Pojęłam cały bezsens mojego dotychczasowego życia. Wiesz, byłam ambitna. Chyba za bardzo. Nie chcę się usprawiedliwiać, ale życie mnie nie rozpieszczało. Matka wychowała mnie bez ojca. Sama. Właściwie od czasu, kiedy sięgnę pamięcią, pełniłam w domu obowiązki mężczyzny.

Musiałam być twarda. Ale wyrwałam się z biedy. Ukończyłam szkołę, college, odniosłam sukcesy pracując w policji.

Mężczyzn traktowałam instrumentalnie. I z dnia na dzień upewniałam się, że miłość nie istnieje. Oczywiście, wiedziałam, że kiedyś znajdę sobie męża, kogoś takiego jak Sabroni lub Ruiz, bogatego przedsiębiorcę z zaawansowaną chorobą wieńcową. Ale dlaczego ty...

Oczywiście, nie wierzyłem w ani jedno jej słowo. A przecież słuchałem ich z prawdziwą przyjemnością. Nikt dotąd tak do mnie nie mówił.

- Juan! Proszę, nie kochaj mnie! Pozwól jedynie, bym ja cię kochała - raptownie pochwyciła moją rękę i przytknęła ją do ust. W jej oczach dostrzegłem dwie grube łzy.

Miękłem.

Rozwiązała mój szlafrok. Całowała moje piersi, brzuch, potem zeszła jeszcze niżej. Znowu ogarniało mnie szaleństwo. I choć ciągle nie wiedziałem, czy to eksplozja namiętności, czy perfekcjonizm zawodowej kochanki, było mi bardzo dobrze.

Nawet nie wiem, jak znaleźliśmy się w sypialni. Byłem nieźle pijany i podniecony. Padliśmy na wielkie, solidne metalowe łożo o sienniku twardym, pachnącym trawą i szaleństwem.

Chciałem zagarnąć ją pod siebie. Odsunęła mnie 8

energicznie.

- Teraz ja! - zawołała. Policzki jej płonęły. Szkarłat podniecenia ogarniał jej ramiona, schodząc ku jej piersiom.

Brodawki wręcz groziły eksplozją. Miała mnie całego.

Wyprężyłem się, robiąc prawie mostek, rękami chwyciłem poręczy łóżka służącego paru pokoleniom Castellów... Szczyt nadchodził.

- Klik, klak!

- Co to było?

Nagły chłód otoczył moje przeguby.

- Klak, klik.

Tym razem stało się to z moimi nogami.

Szarpnąłem się. Cholera.

Nie mogłem się ruszyć.

Bella zeskoczyła z łóżka.

- Co ty robisz? Dlaczego? - w mgnieniu oka wytrzeźwiałem i ochłonąłem.

Jej piękna twarz nagle pobladła, źrenice zwęziły się.

- Przestań się wyglupiać! - powtórzyłem.

- Muszę, Juan - powiedziała beznamiętnie. - Muszę!

Zeszła do livingu, przez otwarte drzwi widziałem, jak się ubiera. Jak wciąga rajstopy, zapina stanik...

- Co to za żarty?

- To nie są żarty, Juan - mówiła mechanicznie, poważnie.

- Po prostu nie ma innego wyjścia.

- Ale o czym ty mówisz? Przyjdź natychmiast i zdejmij te kajdanki! Skąd wzięłaś aż cztery pary...?

- To jest zadanie, Juan. Normalne zadanie jak każde inne

- słowa wypowiedziała beznamiętnie, ni to do siebie, ni to do mnie. - Wiesz, Lopez nie dojedzie do więzienia w Santa Cruz.

Jego samochód eksploduje już za 55 minut na najmniej uczęszczanym odcinku drogi.

- Co mówisz?!

- To najtańszy sposób zamachu na prezydenta, Juan. Można powiedzieć, "egzekucja per procura".

- Kim ty jesteś, Bella? Dla kogo pracujesz?

Zapaliła papierosa i weszła znów do sypialni.

- Jestem żołnierzem. Żołnierzem Frontu Wyzwolenia i Odnowy.

- Front, od kiedy zabrakło Herrery, jest w rozsypce.

- Herrera żyje! We mnie.

- Bzdura!

- Oczywiście, nie mogłeś tego sprawdzić w banku danych.

Ale ja jestem jedyną naturalną córką Diego Herrery... Nie jestem do niego podobna?!

Teraz rzeczywiście wyglądała na rewolucyjną egerię.

Zrozumiałem, że moja sytuacja wygląda bardzo kiepsko.

- Kiedy zdechnie twój szef, ten tyran, zaczniesz się anarchia, bałagan, my zaczekamy. A gdy

przyjdzie właściwy moment, a naród dojrzeje do rewolucji, zejdziemy z gór, wyjdziemy z kanałów, wielotysięczni, niezwyknięci...

- Nie wyglupiaj się, Isabella!

- Jestem prawdą - powiedziała szorstko. - Jestem prawdą, tak jasną jak twoja śmierć.

- Chcesz mnie zabić? Oszalałaś. Jak?

- Pośrednio... Teraz pójdę po kanistry. Zawczasu zaopatrzyłam się w benzynę. Stary drewniany dom spłonie jak pochodnia. Nikt nie będzie nic podejrzewał.

- Zwłaszcza, gdy znajdą zwęglone zwłoki przykute kajdankami do łoża. Myślisz, że nie dowiedzą się, że tu byłaś...?

Na moment jakby straciła rezon.

- Tak, to rzeczywiście jest problem - westchnęła. - Ale poradzimy sobie. Zdaje się, że miałeś tu gdzieś broń myśliwską. Mieliśmy polować na kapibary...

9

Wybiegła z pokoju. Miałem bardzo mało czasu. Ale dostrzegłem pewną szansę. Od dziecka znałem tajniki tego wielkiego łoża, wiedziałem, że pręty, do których przykuła kajdanki, są wkręcane. Próbowałem je poruszyć końcami palców, ani drgnęły. Jeszcze raz, jeszcze raz. Jeden ruszył.

Równocześnie słyszałem, jak Isabella wraca z bronią, jak przetrząsa cały dom w poszukiwaniu nabożów. Całe szczęście, że nigdy nie pozostawiam broni załadowanej. Klnąc cicho przeszukała kredens, wyrzucając wszystko na podłogę, potem spenetrowała się, wreszcie skierowała się ku drewnitni.

Mogłem mówić "Ciepło, ciepło". Ale wołałem nie ułatwiać jej zadania. Wykręcony pręt z cichym brzdękiem uderzył o ścianę, ale uchwyciłem go, zanim spadł pod łóżko. Zsunąłem bransoletki. Jedną rękę miałem wolną, teraz kolej na drugi pręt. Cholera, ani drgnął! Szarpnąłem mocniej oburącz. Gwint nie odkręcany od dawna zastygł na dobre...

Trzasnęły drzwi. Wracała. Usłyszałem, jak szczękała łamana dubeltówka. Teraz nie miałem szans. Ale... umieściłem pręt na dawnym miejscu. I leżałem nagi wyprężony jak Iksion lub człowiek-schemat z rysunku Leonarda da Vinci.

Weszła ze strzelbą w dłoni, ale twarz jej pozostawała spokojna. Jak u zawodowego kata.

- Pomodliłeś się? - spytała.

- Tak. A czy jako skazaniec mógłbym mieć ostatnią prośbę, Bello?

- Żartujesz?

- Nie stać cię na to?

- Mam może dokończyć rozpoczęte dzieło? - parsknęła wskazując na moją omdlającą, kompromitującą maleńką męskość.

- Tylko mnie pocałuj.

Na jej twarzy odbiło się niedowierzanie.

- Wiem, że to dla ciebie nie ma żadnego znaczenia -

szeptalem - ale ja... ja naprawdę czułem do ciebie...

Miała trochę głupi wyraz twarzy. Zawahała się. Potem odstawiła dubeltówkę.

- To mogę dla ciebie zrobić. Momentami byłeś naprawdę niezły.

Pocałowała mnie w usta. To nie był filmowy pocałunek.

Nasze wargi były suche, bez wilgoci i ciepła. Ale kiedy unosiła głowę, wymierzylem cios. W

pięści miałem drugą połówkę kajdanek. - Masz!

Celowalem w skroń. Ale nie mogłem dobrze się zamachnąć.

Cios okazał się słaby. Kajdanki tylko rozorały jej policzek.

W oczach Belli zdumienie zmieszało się z wściekłością. Miała jeszcze szanse. Mogła skoczyć ku dubeltówce. Mogła zrobić dużo rzeczy, ale nie zrobiła tego. Chciała mnie zabić.

Natychmiast, udusić. Uczulem jej pazury na swoim gardle.

Byłem jednak na to przygotowany. Porwałem nastawiony luźno pręt, uderzyłem raz, drugi. Osunęła się na pościel, a ja waliłem, waliłem, nie bacząc, że kajdanki wżerają mi się w drugi przegub. Przestałem, kiedy głowa panny Ybaldia przypominała krwisty befsztyk.

Używając śmiercionośnego prętu jako lewarka wylałem drugi pręt i uwolniłem lewą rękę. Z nogami poszło mi jeszcze łatwiej. W torbie Isabelli znalazłem kluczyki.

Potem zadzwoniłem do Wydziału Specjalnego i poprosiłem o numer do auta Lopeza. Pułkownik był bardzo zdziwiony, kiedy kazałem mu natychmiast wysiąść i uciekać. Usłuchał jednak. W

dwie minuty potem fontanna ognia wytrysnęła z jego forda. Po kwadransie Lopez zadzwonił do mnie, że zarekwirował jakiś wóz i że ma zamiar dojechać do Santa Cruz na czas i bez przeszkód.

- Ale co się stało, na litość boską? - pytał.

- Będzie jeszcze czas na opowiadanie.

Wyłączyłem mego komórkowca i popatrzyłem w stronę 10

sypialni. Cały czas miałem nadzieję, że za chwilę koszmar pryśnie, że znów będzie upalne słodkie popołudnie...

Nie mogłem zdobyć się na wejście do sypialni. Zamykając drzwi zobaczyłem tylko nogę Belli. Nogę przedziwnej gładkości, która w naturze występuje zazwyczaj jedynie na pupie dziecka. I to nie każdego.

Spałem długo. Obudziłem się dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Sen miałem ciężki, pozbawiony zwidów, majaczeń. Przypominał przejazd przez mroczny, duszny tunel.

Odczuwałem głód i zszedłem do bistra położonego vis-a-vis mego stołecznego mieszkania. Po drodze kupiłem gazety. Żadna nie odnotowała wydarzeń z poprzedniego wieczoru. Nie wspomniano o pożarze rancza sekretarza stanu w gabinecie Głowy Państwa (benzyna okazała się świetną podpałką) ani o zwęglonych zwłokach kobiecych znalezionych w ruinie. Nie miałem żadnych problemów z wyciszeniem sprawy. Sporo pomógł

telefon Lopeza do lokalnej policji.

Teraz czułem się dziwnie. Przerażająco normalnie. I pusto. Jak po amputacji niezwykle ważnego organu - tyle że nie wiadomo, do czego niezbędnego. najważniejsze, że miałem to za sobą. Od poniedziałku zaczynał się normalny kierat.

Marzyłem o poniedziałku.

Zjadłem parę hamburgerów, popiłem piwem i wróciłem do siebie. Koło windy minęła mnie sąsiadka, para szczupłych, zgrabnych, dwudziestoletnich nóg. Bolesny skurcz. W

mieszkanu znów mnie to dopadło. Do diabła! Wszystko przypominało mi Isabellę. Jej grzebień zostawiony w łazience. Jej zdjęcia, listy kreślone w pośpiechu. Nie mogłem tego wytrzymać. Zabrałem się metodycznie do desisabellizacji - spaliłem w kominku zdjęcia, jej koszulę nocną, listy. Spaliłem nawet mój wiersz napisany do niej po pijaku i serwetkę z

ambasady francuskiej, na której po raz pierwszy zapisała mi swój numer. Tak, to chyba było wszystko. Potem znów usnąłem. Świetny, wypróbowany sposób -

ucieczka w sen.

Koło dziesiątej wieczorem obudził mnie telefon.

Pomyślałem, że to prezydent. Ale nie, dzwonił aparat miejski.

- Słucham, Castillo.

W pierwszej chwili nie poznałem Lopeza, był tak zdenerwowany, że głos mu się łamał, mówił bezładnie, powtarzał się...

Sabroni był gotów na śmierć. Kiedy przed świtem do jego celi zapukał naczelnik więzienia, skazaniec zaniepokoił się jedynie nieobecnością księdza. Przed podróżą w wieczność zamierzał się wyspowiadać (choć od dawna niewierzący, uważał, że to nie zaszkodzi).

Gdy po pierwszych słowach zrozumiał, że chodzi o ulaskawienie, na moment zgłupiał, potem zaczął krzyczeć z radości, wiwatować na cześć prezydenta, ucałował nawet strażnika. Dopiero po dobrych kilkunastu minutach naczelnik mógł odczytać aneks aktu łaski.

- Że co? - Cristobal słuchał nie bardzo pojmując.

- Wasza kara została zamieniona na dożywocie...

- Nie!!!

- Będziecie mieli pojedynczą, osobną celę...

- Nie, nie, nie możecie mi tego zrobić. Dożywocie, sam...? Ja... ja mam klaustrofobię, panie naczelniku...

Błagam!

Nagły wybuch tłumaczono szokiem. Przybyły lekarz zaaplikował Sabroniemu zastrzyk uspokajający.

- To minie - orzekł - wystąpiła bardzo emocjonalna reakcja. Ale w końcu człowiek przeżył niemalże stres.

11

Sabroni nie zjadł tego dnia ani śniadania, ani obiadu, odmówił spożycia kolacji.

- Głodówki mu się zachciało! - podenerwowany naczelnik zadzwonił do Lopeza. Pułkownik, tknięty złym przeczuciem, kazał postawić przy celi Cristobala dodatkowego strażnika, śledzącego dzień i noc zachowanie więźnia.

Za późno!

Nim specjalny strażnik dotarł do celi, dozorca podniósł alarm. Sabroni powiesił się na kracie, wykorzystując sznur zrobiony z podartego prześcieradła. Gdy otworzono drzwi, był

już siny. Martwy! Z upiornie wysuniętym językiem i kałużą łajna.

- Kiedy to było? - wrzasnąłem do Lopeza.

- Śmierć nastąpiła jakieś pół godziny temu.

- Proszę nie odkładać słuchawki!

Chwyciłem mojego komórkowca i wystukałem numer telefonu w górskiej willi szefa. Nikt nie odpowiadał. Niedobrze.

Wystukałem zatem kod specjalnej łączności, który pozwalał na połączenie się z prezydentem w każdej chwili. Cisza. Rany boskie! A więc teza o bliźniactwie astrologicznym była prawdziwa. I to w najbardziej ponurej z możliwych wersji.

Naraz ze słuchawki Lopeza dobiegł wrzask. Zbliżyłem ją do ucha.

- Castillo, włącz kanał centralny telewizji.

Natychmiast!!!

Włączyłem i zdębiałem.

Na stanowisku spikerskim siedział nasz prezydent. Flagę i godło powieszono niechlujnie, co zdradzało najwyższy pośpiech.

Mój szef mówił chaotycznie i nerwowo. Sądząc po grubej warstwie potu na czole, przemawiał od kilkunastu minut.

Właśnie kończył.

- Tak więc, Narodzie, wypełnię do końca wszelkie zobowiązania wypływające z moich deklaracji wyborczych. I niech nikt się nie łudzi, że powstrzyma mnie w pół kroku.

Niech żyje Republika!

Skończył, pojawiła się plansza centralnego programu.

Nie zwracając uwagi na wrzaski Lopeza, połączyłem się z dyrektorem telewizji. Był przerażony. Bardziej pisał niż odpowiadał na moje pytania.

- Niczego nie rozumiem, don Castillo! Pół godziny temu helikopter prezydencki wylądował na dachu studia numer 5.

Pilotował go sam przywódca... Wszedł do studia i zażądał od nas natychmiast czasu antenowego, mówił, że biorąc pod uwagę krytyczną sytuację kraju, musi wygłosić orędzie.

- Miał przygotowany tekst?

- Mówił bez kartki.

- A kto mu towarzyszył?

- Nikt. Ochrona nie miała pojęcia, że opuścił rezydencję.

- A co powiedział?

Pisk prezesa stał się jeszcze cichszy:

- Sporo. Powiedział, że przejmuje pełną odpowiedzialność za działania administracji, zadeklarował zniesienie od poniedziałku bezrobocia, podniesienie przeciętnej płacy do 10 tysięcy pesetów miesięcznie, odebranie naszym sąsiadom przygranicznych prowincji i przyspieszone wybory parlamentarne.

- Ależ to szaleństwo - wykrztusiłem - pełne szaleństwo.

- Identyczna jest opinia doktora Rafaelli, który dzwonił już w trakcie programu. Prezydent zwariował.

- Nie sądzę...

- Co pan nie sądzi?

Wylączyłem aparat. Nagle ogarnął mnie dziwny chłód. Tak, wszystko było teraz jasne. Wszystko. Dopelniał się los astrologicznego bliźniaka. Oczywiście, z drobną różnicą.

12

Sabroni popełnił samobójstwo. Prezydent też. Tylko jak przystało na męża stanu, było to samobójstwo polityczne.

Pół roku to za krótki czas, aby zapomnieć, prawdopodobnie zresztą nigdy nie zapomnę Isabelli, jej uśmiechu niewinnego dziecka, jej oczu ognistej kotki.

Pół roku to jednak dość dużo, aby spróbować ułożyć sobie życie na nowo. Nie miałem czego szukać w Południowej Ameryce. Podziękowałem za pracę szybciej niż afera z prezydentem

dobiegła końca.

Nowy Jork mimo zimy potrafi być miłym miastem. Z okien mego gabinetu widzę krę na Rzece Wschodniej. Widzę samoloty podrywające się znad lotniska im. Kennedy'ego.

Udało mi się znaleźć pracę w Organizacji Narodów Zjednoczonych w dziale zajmującym się problemami demograficznymi. Dzięki temu mam dostęp do olbrzymiej dokumentacji. Również do danych personalnych. Jestem coraz bardziej pewien, że przypadek bliźniactwa prezydenta i Sabroniego nie jest odosobniony. Że każdy z nas ma jakiegoś astrologicznego bliźniaka. To tłumaczyłoby wiele rzeczy w naszych życiorysach. Bliźniacy mogą oczywiście żyć w różnych krajach, na różnych kontynentach... Ale są.

Jeśli kiedyś uda nam się ich poujawniać, skomputerować pary, uzyskamy możliwość sterowania ludźmi na skalę, jaka się nie śniła nikomu w historii. Jedno mnie tylko martwi, że gdzieś w Moskwie, Pekinie albo Berlinie ktoś mógł w tym samym czasie wpaść na analogiczny pomysł zawładnięcia światem. Kto? Mój astrologiczny bliźniak.

Marcin Wolski MARCIN WOLSKI

Człowiek-orkiestra i fantastyki, i radiokabaretu, i telewizyjnej oraz prasowej satyry. Urodzony w 1947 roku w Łodzi historyk z wykształcenia, poeta i prozaik, twórca programów "60 minut na godzinę" i "Polskie zoo". Powieści SF

("Agent Dołu", "Piąty odcień zieleni", "Bogowie jak ludzie", "Korektura", a wcześniej "Neomatriarchat" i "Świnka" - sfilmowana). Zbiory opowiadań SF ("Tragedia Nimfy 8", "Antybaśnie", "Baśnie dla bezsennych").

Drukowaliśmy następujące opowiadania MW: "Zadziwiający przypadek fascynacji" ("F" 3/83), "Wariant autorski" ("F"

5/85), "Telefon zaufania" ("F" 4/89), "Omdlenie" ("NF"

8/92). Ze wszystkich tych tekstów, podobnie jak i z drukowanego obecnie opowiadania wygląda do nas twarz autora pogodnego i solidnego, z pomysłami, którego największą ambicją jest rozerwać czytelnika oraz od czasu do czasu odsłonić mu sekretne mechanizmy polityki i historii.

(mp) 13

Spis treści

[Rozpocznij](#)